

Księga Wyjścia – 11

19 maja 2019

Ballada o dawnym przyjacielu

Ktoś z bliskich – wbrew pozorom, są takie osoby – wytknął mi, że w każdym z tekstów pojawia się temat narkomanii lub alkoholizmu. Zwrócił również na to uwagę dr Andrzej Kaciuba, którego chyba stałym czytelnikom przedstawiać nie muszę.



W zasadzie leitmotiv cyklu tych felietonów dotyczy trzeźwienia, więc chcąc nie chcąc wspomniane tematy, wzmianki są nieodłącznym elementem – myślałem. Po głębszej refleksji doszedłem do wniosku, że mają rację. Nałogi tak głęboko się u mnie zakorzeniły, że nawet pisząc o czymś innym zawsze musiałem o temat ten przynajmniej zahaczyć. Poza ostatnim odcinkiem, gdzie już świadomie go omijałem.

Ponieważ jest to „Księga Wyjścia”, postaram się wychodzić również i z tego, a kolejnym krokiem będzie wyrugowanie wszelkich alkoholicko-narkomańskich treści. Podnosi to trochę poprzeczkę, bo w przypadku braku pomysłu mogłem opisać jakąś barwną historię z szarego życia nałogowca. Ten felieton jest ostatnim, w którym poruszam ten temat. Po pierwsze dlatego, że

zaplanowałem go dwa tygodnie temu, po drugie – historia ta niech będzie takim epitafium literackiego nawrotu i wreszcie po trzecie – być może, zapobiegnie lub da do myślenia osobom, którzy dopiero zaczynają. Uprzedzę wątpliwość jaka nasunęła się zapewne niektórym czytelnikom, że młodzież nie czyta prasy. Być może, ale jest szansa, że przeczytają na FB? Poza tym uzależnić można się w każdym wieku. Ja zachwyciłem się narkotykami mając ponad trzydzieści lat, ale znam też takich, którzy zaczęli po czterdziestce.

Minął już mój miodowy miesiąc, czyli okres zachwyty i fascynacji trzeźwością. Z tych wszystkich miodowych miesięcy jakie miałem, uzbierałbym sobie zapewne z rok. Ale to na tak marginesie. Siłą rozpędu i z mocnym postanowieniem, że tym razem się uda, zacząłem urządzać życie na nowo. Z nadzieją patrząc w przyszłość zrobiłem totalną rewolucję w mieszkaniu, pozbywając się starych mebli i zaopatrując w nowe.

W przychodni leczenia uzależnień, gdzie znajduje się punkt terapii substytucyjnej – czyli miejsce wydawania Metadonu i Suboxonu (Tam gdzie w kiblu jest czerwona żarówka, ci co czytali przedostatni odcinek wiedzą o co chodzi) funkcjonują grupy terapeutyczno-samopomocowe. Przychodzą tam ludzie, nie tylko w celach terapeutycznych. Przychodzą tam, bo to jedyne miejsce, gdzie nikt ich nie wyprosi, nie wytknie palcem. Większość ma HIV, część już AIDS o HCV nie wspominając, prawie wszyscy bladoziemiste cery, zamglone oczy i ciała pokryte ranami nakłuć, tak, że nawet koszule tego nie skrywają.

Jakież było moje zdziwienie gdy zobaczyłem tam mojego dawnego kumpla, którego nie widziałem od kilkunastu lat. Nazwijmy go J. Na początku go nie poznałem, wiedziałem wprawdzie, że nie stroni od dragów, ale nie spodziewałem się, że aż tak bardzo i że aż tak bardzo go zmieniają. Dopiero gdy, ktoś go zawołał po imieniu, zaświeciła się lampka i na wychudzonej, obciągniętej bladą jak pergamin twarzy rozpoznałem rysy dawnego, dobrego kumpla.

On nie mnie również nie poznał, ale coś się dziwić, minęło wiele lat, wtedy miałem długie włosy, a po ostatnim detoksie mój organizm zaczął się gwałtownie zmieniać. W ciągu miesiąca przytyłem ponad dwadzieścia pięć kilo, co nawet mnie ucieszyło, bo od jakiegoś czasu miałem sporą niedowagę. Mając metr osiemdziesiąt dwa, ku mojej radości z niecałych sześćdziesięciu, skoczyło na osiemdziesiąt pięć. Musiałem wymienić garderobę, wszystko było za ciasne. Gdy zaopatrzyłem się w nowe ciuchy, znowu zacząłem chudnąć. Szlag by to – pomyślałem, przeglądając nowe spodnie, bluzy i koszule. Chcąc nie chcąc wyjąłem z szafy stare ubrania, a te upchnąłem w jednej z nowych szafek. Po dwóch czy trzech tygodniach chudnięcia zorientowałem się, że mam problem z założeniem spodni. Przyjrzałem się sobie, stanąłem na wagę i okazało się, że strzałka znowu przekroczyła osiemdziesiąt. Bardzo to dziwne – pomyślałem i przez głowę przeszło mi, że to może jakaś choroba. Ale gdy wychodziłem w lutym ze szpitala zrobili mi kompleksowe badania i wszystko było w porządku. Tak więc jak na razie przywykam do tego, że czasem wbiegam na czwarte piętro bez najmniejszego problemu, a czasami ledwo się tam wtaczam. A te turbulencje masy ciała spowodowane są zapewne trzeźwieniem i Suboxonem. Jeśli tak, to terapia substytucyjna nie dość, że zapobiega i chroni mnie przed narkotycznymi ciągami, to pozwala mi również utrzymać prawidłową wagę. Najlepszy efekt uboczny jaki mógłbym sobie wymarzyć.

Wracając jednak do mojego spotkania z J. rozpoznaliśmy się w końcu, co wywołało zdziwienie, szok i radość. Gadaliśmy jeden przez drugiego wzajemnie ciekawi tych lat, gdy nie mieliśmy kontaktu. W punkcie nie było jednak możliwości na dłuższą rozmowę, więc wymieniliśmy się numerami telefonów.

Zadzwoniłem do niego po dwóch czy trzech dniach. Okazało się, że nawet niedaleko siebie mieszkamy. Licząc krokami pewnie ze dwieście metrów. Tym bardziej dziwne, że nie trafiliśmy na siebie w okresie ciągów, dna, dykty i podłych narkotyków. Może to i lepiej, dzięki temu – mimo, że fizycznie bardzo się

zmienił – to w pamięci pozostał tym J. jakiego pamiętałem. A pamiętałem go w sposób najcieplejszy w jaki można kogoś zapamiętać. Zawsze był duszą towarzystwa, przez wszystkich lubiany, nie zadzierający nosa i zawsze pomocny. Mieliśmy wspólną „paczkę” i często wspólnie imprezowaliśmy. Oczywiście każdy miał swoje życie, ale mimo wszystko trzymaliśmy się razem.

J. dużo jeździł po Europie, miał znajomych wszędzie, a zwłaszcza w Holandii, czasami przywoził LSD. W tamtych czasach cała nasza grupa sporadycznie zażywała kwasa – sporadycznie czyli raz, dwa razy do roku. Nie przywoził tego dużo, najlepiej bawiliśmy się przy piwie i to nam wystarczało. Czasem, od wielkiego dzwonu ktoś zapalił i puścił w kółko blanta. Nigdy jednak nie lubiłem tej fazy i gdy nadchodziła moja kolej, to po prostu podawałem dalej nie biorąc nawet do ust. Gandzia za bardzo mnie przymula i zamiast się bawić to zwyczajnie zasypiałem tracąc dalszą część imprezy. To był jedyny nasz kontakt z narkotykami.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych J. przeprowadził się do Warszawy. Dostał pracę w jednej z firm realizujących jakiś popularny programy rozrywkowe dla Polsatu. Ja przeniosłem się z „Dziennika Wschodniego” do tygodnika „NIE” i w sposób naturalny kontakt nam się zaczął urywać. Spotkaliśmy się jeszcze kilka razy, gdy przypadkowo zgrały nam się terminy i obaj byliśmy w Puławach. Spotkania te wyglądały już jednak zupełnie inaczej. Utrzymywałem wprawdzie kontakt z naszą starą „paczką”, ponieważ jednak całkowicie przestałem pić, to przestałem też być atrakcyjny towarzysko, i gdy przyjeżdżałem na kilka dni z delegacji do domu, to zazwyczaj nadrabiałem zaległości rodzinne. Tyle z przeszłości, nafaszerowanej zabawą i rozrywką.

W momencie gdy powinniśmy stać się dorośli i wziąć odpowiedzialność za własne życie, zarówno J. jak i ja zwyczajnie coś popsuliśmy. Z tego co wiem, to cała reszta prowadzi normalne życie.

Teraz druga część życia J., którą mi opowiedział gdy spotkaliśmy się na kawie.

Opowieść J.:

To było w dwutysięcznym, pokłóciłem się z szefem w Polsacie i bałem się, że moje dni są już policzone. Wprawdzie nikt mnie nie wyrzucił, ale już dostałem sygnały.

Chciałem uprzedzić krok, by nie zostać na łodzie, zadzwoniłem do znajomego Holendra, ma firmę i wiedziałem, że szukał pracowników. To była środa. Holender powiedział, żebym przyjechał w sobotę i od razu dostanę pracę. Nie było jeszcze tanich linii lotniczych i do Amsterdamu mogłem dostać się jedynie busem, obdzwoniłem wszystkich przewoźników, jedyny bilet jaki był dostępny, to właśnie na sobotę. Kupiłem, złożyłem wypowiedzenie z pracy, spakowałem i w drogę.

Do Holandii dojechałem w niedzielę, wysiadłem z autobusu, w taksówkę i pojechałem prosto do tego znajomego. Wiesz jak wtedy było z komórkami, roamingiem – opowiada. Nawet nie miałem jak zadzwonić i powiedzieć, że będę w niedzielę. Na miejscu okazało się, że czekał na mnie wczoraj, a ponieważ nie przyjechałem, to na moje miejsce zatrudnił już jakiegoś chłopaka. Zatrzymałem się u znajomych i zacząłem szukać pracy. Skończyły się pieniądze, siedziałem im na głowie, karmili, ale też brali. I to na ostro. Wtedy ja też zacząłem brać dożylnie.

Przerwał na chwilę – gdy sięgał po kawę, zauważyłem cienkie, czerwone kreski – ewidentnie żyletka. Chyba jesteś już za stary na sznyty – zapytałem – spojrzał na rękę, potem podniósł wzrok i powiedział – to nie sznyty. Nie udało się, bo od ciągłych iniekcji mam zanik żył. Wiedziałem co miał na myśli, chciał popełnić samobójstwo. Czemu – zapytałem. Od dziesięciu lat mieszkam sam, w pewnym momencie nie wytrzymałem. Przestałem brać, już od ośmiu lat jestem tylko na Metadonie, trzeźwość mnie przygniotła.

Wciąż wiele nas łączy, odpowiedziałem, niedawno też

próbowałem. Z tego samego powodu. Skończyło się na toksykologii. Potem detoks i program substytucyjny – odpowiedziałem mu, chcąc go jakoś pocieszyć. Zmieniliśmy temat i szukaliśmy przyczyny czemu nie udało nam się spotkać w naszym, lokalnym narkomańskim świątku. Nie było sensu roztrząsać dlaczego spieprzyliśmy sobie życie. Utrzymujemy kontakt, wprawdzie się nie spotykamy – chyba że przypadkiem w punkcie – ale często do siebie dzwoniemy. Wierzcie mi lub nie, czasami taki telefon wart jest więcej niż kumulacja w totku, świadomość, że zawsze mogę wybrać numer, gdzie odezwie się ktoś, kto znajdzie czas by wysłuchać, nawet milczenia. Bo cóż nowego możemy sobie powiedzieć? Ale świadomość, że można po ten telefon sięgnąć daje pewnego rodzaju spokój. A to ogromna ulga. Przecież nic nowego sobie nie powiemy. Czy to przyjaźń, czy jedynie wzajemne zrozumienie? Tego nie wiem. Podobno wśród narkomanów ona nie istnieje. Nie chcę w to wierzyć i na tym zostanęmy.

To był ostatni tekst, w którym pojawiły się narkotyki i alkohol, czas podnieść poprzeczkę. Wchodzimy na kolejny etap trzeźwienia.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info